

ZESZYTY EDUKACJI NARODOWEJ /ZEN/

- przeznaczone są dla uczniowskich, studenckich i robotniczych Kół Oświaty Niezależnej;
- zawierają opracowania z dziedziny: literatury, historii, psychologii, ekonomii, filozofii, religii i wiedzy o "obozie" państw socjalistycznych;
- są pomyślane jako pomoc w pracy samokształceniowej dla wszystkich, którzy pragną kształcić się poza oficjalnym systemem edukacji;
- stanowią propozycję wydawniczą dla autorów, których prace nie mogą ukazać się w oficjalnych wydawnictwach.

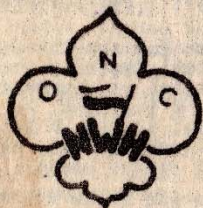
Celem serii wydawniczej ZEN jest umożliwienie wolnego, nie ograniczonego przez cenzurę obiegu myśli, inspirowanie twórczości popularyzatorskiej we wszystkich dziedzinach wiedzy humanistycznej, tworzenie warunków dla rozwoju pozaszkolnego systemu kształcenia, zgodnego z rzeczywistymi zainteresowaniami i potrzebami jego uczestników.

Aby seria ZEN mogła być tym, czym być zamierza - potrzebny jest w jej tworzeniu współudział czytelników. Piszcie więc do nas o swoich zainteresowaniach i potrzebach, oceniajcie krytycznie nasze publikacje, wysuwajcie propozycje tematów do nowych zeszytów. Korespondencję przekażcie pod pseudonimem kolporterom naszych zeszytów.

Aby seria ZEN mogła się rozwijać, konieczne jest stworzenie na jej potrzeby stałego funduszu wydawniczego. Wpłacajcie kolporterom pieniądze na Fundusz Oświaty Niezależnej /Wydawnictwo ZEN/.

Potwierdzenia odbioru korespondencji i wpłat ukazywać się będą w Tygodniku "Masowsze", w KOS-ie lub naukowycielackim piśmie "Tu, teraz"

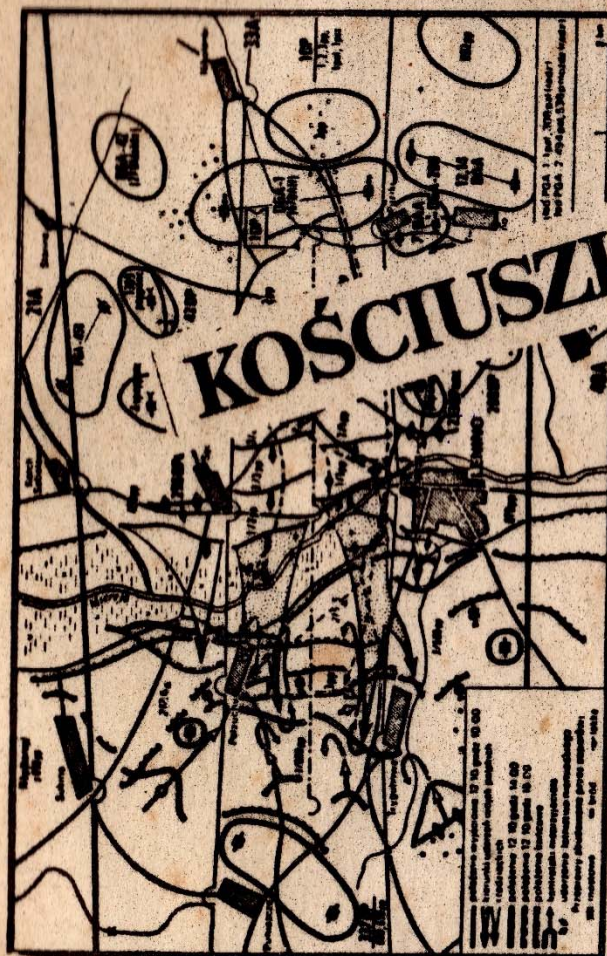
Redakcja Z.E.N



60
cena 30 zł

ZESZYTY EDUKACJI NARODOWEJ

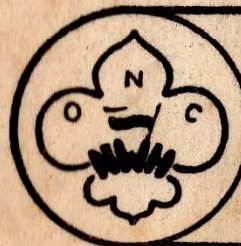
HISTORIA



KOŚCIUSZKOWCY

OPRACOWAŁ

Wiktor
Kulerski



NIEZALEŻNE
WYDAWNICTWO
HARCERSKIE
WARSZAWA 1984



Witold

OD REDAKCJI

W PRL obchodzi się niezwykle uroczysto każdą kolejną rocznicę bitwy pod Lenino, szawi dzielnych żołnierzy polskich z I i II Armii wysekokobramiymi frazami usloganionych sków-sbitek, wspomina z szacunkiem tych, co przełamali Wał Pomorski, sforsowali Odrę i Nysę Łużycką i walcząc na ulicach Berlina doczekali się kapitulacji wojsk broniących stolicy III Rzeszy. Pomniki, tablice, cmentarze, warty honorowe, kwiaty, akademie ku czci, muzea, izby pamięci, przemówienia, szkolenia, filmy, książki, podręczniki szkolne... Wydawać by się mogło, że o ludziach, co przyszli z nad Oki wiemy właściwie wszystko. Można by też sądzić, że - otoczeni wdzięczną pamięcią i opieką państwa, obwieszani orderami - stanowią "Pierwszą Brygadę PRL", że są podporą ustroju i władzy, świętym zastępem legendarnych twórców Polski Ludowej, zwycięzców, którzy świadomie i ochotnie nadali kształt ustrojowy współczesnej ojczyźnie, stając się symbolem żywej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. A przecież każdy wie, że wbrew oficjalnemu hasłu ich czyn, ich trud, ich poświęcenie i ofiary są przez społeczeństwo niedoceniane. Polacy nie pieszczą Kościuszkowców w legendzie, nawet w drobnej części nie otaczają ich taką sympatią, jaką darzą obrońców Westerplatte i Warszawy, bohaterów z Tobruku i Monte Cassino lub z barykad powstańczej Warszawy. Dlaczego? Przecież dzieje się im, a w każdym razie większości, oczywista krzywda. Są bowiem bohaterami, którym odebrano życiorysy lub je bez żenady sfałszowano, uproszono, a nieraz wręcz zamilczano. Historię Kościuszkowców wyrwano z historycznego kontekstu, włączając do innego, zakłamanego, służącego partyjno-państwowej propagandzie. Brak sympatii do Kościuszkowców wiąże się też z przekonaniem, po części tylko uzasadnionym, że ochoczo i gorliwie wspomagali tych z czerwoną gwiazdą na czapkach, co przynieśli nam nową niewolę. Nie jest więc rzeczą przypadkową, że w pierwszych latach po zakończeniu II wojny światowej nie mówiono na tych, co przyszli ze Wschodu, Wojsko Polskie, lecz Berlingowcy, odmawiając im tym samym miana polskiego żołnierza.

Książki i artykuły poświęcone Kościuszkowcom, a następnie II i II Armii, idą w grube tysiące. Są na ogół mało czytane, lub czytane ze szkolnego czy innego obowiązku, jeśli nie przymusu. Nie sprzedaje się tych książek spod lędy, raczej zalegają półki. Z rzadka tylko /mamy tu na myśli niektóre wspomnienia/ docierają do czytelnika - mimo autocenzuralnych przemilczeń i skreśleń cenzury państwowej - okrucy prawdy o tragicznej genezie I Dywizji i o dramatycznych losach wielu Kościuszkowców. Na ogół te okrucy, często w ogóle nie zauważone, nie dają się ułożyć w całość swartą, faktami mięsistą, tętniącą życiem.

Wynikiem radzieckiej agresji, dokonanej w dniu 17 września 1939 r. był nie tylko rozbiór Polski, lecz również włączenie na blisko dwa lata do ZSRR na łaskę i niełaskę stalinowskiego aparatu terroru, milionów Polaków osiadłych od pokoleń na Kresach Wschodnich. W ręce Armii Czerwonej i NKWD wpadły dziesiątki tysięcy polskich żołnierzy; szeregowców, podoficerów i oficerów. W latach 1939-1941 następowały w kilku falach masowe deportacje Polaków w głąb ZSRR: do obozów jenieckich, łagrów i na przymusowe osiedlenie w odległych okolicach Syberii, centralnej Azji, na skutych lodem ziemiach, leżących za kołem podbiegunowym. Już wywózki /transport/ niesły ze sobą śmierć, a "na miejscu" nieludzka praca i głód dziesiątkowały nieszczęsnych skazańców. Przetrzebienie Polaków wpisano niewątpliwie w globalną politykę terroru stosowanego przez NKWD, była to wszakże polityka zróżnicowana. Część naszych rodaków skazano nieodwołalnie na zagładę całkowitą i metodyczną. Dla polskich oficerów kresem wędrówki i męczeństwa stały się groby katyńskie. Inni Polacy mieli albo umierać wolniej, albo żyć w bezterminowej niewoli z dala od kraju.

W oserwcu 1941 r. hitlerowskie Niemcy zaatakowały Związek Radziecki. Zmieniło to położenie Polaków w ZSRR. W teorii ich gehenna skodczyła się, w praktyce zaczynała się kończyć, i to nie dla wszystkich.

Kim byli, na jakie dzielili się grupy, gdzie przebywali u progu jesieni 1941 r. ci Polacy, którzy - jak do dziś pisze się w PRL - "znaleźli drogę w ZSRR"? Przede wszystkim dzielili się na dwie bardzo nierówne liczebnie kategorie. Garstka komunistów lub sympatyków komunizmu przebywała na terytorium radzieckim celowo, z własnej i nieprzymuszonej woli. Niektórzy zaciągnęli się do Armii Czerwonej. Nie należy wszakże zapominać o tym, iż NKWD pozostawał bardzo nieufny również wobec polskich komunistów, z których wielu przebywało "przejściowo" w więzieniach i łagrach; nieufność enkawidzystów była poniekąd logiczna, skoro kilka lat przedtem wymordowano w ZSRR większość kierownictwa KPP. Ołbrzymia większość Polaków /ponad 1,5 miliona/ przebywała w ZSRR przymusowo po brutalnej deportacji z rodzinnych stron. Byli to ludzie różnego wieku i różnego stanu. Niemal wszyscy przeszli przez piekło, z którego pragnęli się jak najszybciej wyrwać. Nienawidzili katów, potępiali system radziecki, a jednocześnie z wdzięcznością wspominali prostych Rosjan, chłopów i robotników, zwłaszcza zaś współwięźniów, którzy niejednokrotnie okazali im serce, przychodzili z pomocą, a nawet ratowali życie.

Oprócz deportowanych, porzuczonych po więzieniach, obozach, osiedlach, sowchozach i kołchozach na prawie całym olbrzymim terytorium ZSRR była jeszcze trzecia kategoria Polaków. Mamy na myśli tych, którzy przed rewolucją mieszkali na Ukrainie, Białorusi i w różnych okręgach Rosji /nie wyłączone oczywiście Syberii/ i po zawarciu w 1921 r. Traktatu Ryskiego pozostali w ZSRR. Wielu z nich, zwłaszcza młodzi, uległo daleko idącej sowjetyzacji, niektórzy wszakże - chyba jednak dość liczni - zachowali choćby częściowo polską świadomość narodową. Prawie wszyscy jednak byli porażeni wazochogarniającym lękiem, celowo i intensywnie upowszechnianym w ZSRR. Ogromna większość radzieckich Polaków uważa, że potęgą represyjnego systemu panującego w ZSRR jest niezmiernie, że nikt i nigdy jej nie sdoła pokonać.

Począwszy od jesieni 1941 r. zaczęło formować się pod dowództwem gen. Andersa Wojsko Polskie w ZSRR. Wchłonęło ono tylko niewielką liczbę Polaków wywiezionych w głąb Rosji. Nie wszyscy zresztą zdążyli stawić się pod narodowe sztandary. Wielu nie mogło przełamać przeszkód i szukan, jakich nie szczydziły władze radzieckie. Najgorzej przedstawiała się sytuacja ludzi osadzonych w dalekich, najcięższych łagrach, zapomnianych od Boga i ludzi, ale dobrze strzeżonych przez NKWD. Ci nieliczni, co przeżyli katorgę, zdążyli do polskiego wojska mogli tylko wyjątkowo.

W 1942 r. oddziały polskie uformowane w ZSRR przeszły do Iranu, a po ich odejściu władze naczelne Związku Radzieckiego odmówiły prawa tworzenia wojska polskiego podlegającego rządowi Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie. Dla tych, co nie zdokali wyjechać z ZSRR, nastały najcięższe miesiące. Czuli się osamotnieni, zdani znów na łaskę i niełaskę władz moskiewskich. Jako gorący patrioci chcieli walczyć z Niemcami i powrócić z bronią w ręku do Polski, byli wszakże całkowicie bezradni. Rozproszeni, pozbawieni polskiego słowa, organizacji, szkoły, czuli się zupełnie zapomniani i opuszczeni. Byli to w przytaczającej większości ludzie prości, robotnicy, chłopci, rzemieślnicy, na ogół o słabym wykształceniu. Polska inteligencja albo została wymordowana /Katyn/, albo opuściła ZSRR, udając się do Iranu. Pozostali nieliczni i do tego rozproszeni po Rosji inteligenci, a wśród nich garstka komunistów i sympatyków komunizmu.

Po zerwaniu przez ZSRR stosunków z rządem RP, Stalin - dążąc do utworzenia w przyszłości satelickiego państwa polskiego /nie wykluczając wówczas jeszcze, że w sprzyjających dla siebie okolicznościach będzie można włączyć nasz kraj do ZSRR/ - "wyraził zgodę" na utworzenie pod egidą komunistów Związku Patriotów Polskich, a następnie oddziały polskich posilkujących Armii Czerwonej. Był wszakże Stalin i ostrożny, i nieufny /funkcjonował wciąż w kierownictwie radzieckim silny kompleks polski, kompleks przegranej z 1920 r./, toteż kadry formowanej w Sielcach Dywizji im. Tadeusza Kościuszki składały się w ogromnej większości z Rosjan oraz "dyspozycyjnych" Polaków radzieckich. Zresztą i tak polskich oficerów pozostało w ZSRR bardzo niewiele. Do takiego wojska /o innym, poza Armią Czerwoną, nie można

było przecież realnie myśleć/ napływali Polacy ze wszystkich stron Kraju Rad. Tak też znalazł się w Sielcach bohater "Kościuszkowców" - Marian Bednarski, uciekinier z łagru "w tajdze nad rzeką".

Znaczna część dalszych losów /w sensie kroniki wydarzeń/ I Dywizji, a później I Armii jest znana. Bardzo mało natomiast wiemy o ludzkich dramatach i dylematach, o walce żołnierzy przeciw wykorzystywaniu ich w radzieckiej polityce ubezwłasnowolnienia Polski. Prości Kościuszkowcy chcieli wolnej Polski, a to stronie radzieckiej podobać się nie mogło. Toteż wywołano bezlitośnie polskich żołnierzy pod Lenino, a gdy ci, co przeżyli, pragnęli pomóc powstańczej Warszawie, nie pozwolono na to, a właściwie pozwolono na ich "kontrolowaną śmierć" na Czerniakowie lub w murach Wisły. Musieli też Kościuszkowcy gorzko przeżywać nieufność rodaków wyzwolonych spod hitlerowskiej okupacji, musieli przeboleć to, że nie dane im było powrócić pod Tarnopol, Baranowicze czy do Lwowa, że musieli osiąść na nowych kresach, zachodnich tym razem. Kresy te przywrócili Polsce. Niektórzy musieli płacić w Polsce Ludowej więzieniem i utratą zdrowia za swój patriotyzm, za protest przeciw oszukiwaniu, przeciw wykorzystywaniu ich wbrew polskim interesom.

Różne oczywiście były losy wojenne, a zwłaszcza powojenne, żołnierzy znad Oku. Niejeden poddał się indoktrynacji, zrobił karierę i korzysta z przywilejów weterana, który "najkrótszą drogą", czyli jedynie szuszną, przyszedł do Polski i zbudował PRL. To ci, co zostali złamani, co uwierzyli w niepokonalną potęgę radziecką, co po trudach i walkach zapragnęli w końcu odpocząć, nie wspominając o dawnych sprawach /"było, minęło, po co o tym mówić"/.

Aby ich zrozumieć, tych, o których piszemy, i tych liczniejszych, skromnych i prostych, którzy nie zrobili peerelowskiej kariery, wiele pracować, mało mówić, a teraz dożywają swych dni, trzeba gwoli prawdy powiedzieć wprost o dwóch sprawach. Oto ofiary radzieckiego terroru padły ofiarą... schematycznego osądu i potępienia ze strony Polaków, których zastali na ojczyźnie, osądu zrozumiałego, lecz przez to jeszcze bardziej tragicznego. Rodacy bowiem, nie wnikając w położenie i nie rozpatrując losów Kościuszkowców, odepchnęli ich, traktując jako pomocników wroga. To pierwsza ważna sprawa. Pozostaje druga, nie mniej istotna. Otóż żołnierski wspólny los nieuchronnie łączy mężczyzn różnych narodowości. Wszak Polacy w kościuszkowskich mundurach przeszli wojenne piekło razem z czerwonarmiętami. Zazwyczaj młodzi Polacy dziś nie bardzo pojmują, na czym problem polega. Rozumieli to dobrze dawni Polacy. Przecież braterstwa broni z Rosjanami obawiali się przedziwowie Kościuszkowców, podchorążowie z 1830 r. Wnieśli powstanie między innymi dlatego, że nie chcieli wraz z armią rosyjską iść z rozkazu cara dźwić wolnościowe rewolucje we Francji i Belgii. Lękali się nie tylko tego, że wystąpią przeciw wolnym ludziom, niosąc im kajdany, lecz i tego, by nie zadzierzgnąć więzów przyjaźni z żołnierzami rosyjskimi. O nastrojach wśród podchorążych w przeddzień wybuchu powstania listopadowego tak pisał we wspomnieniach jeden ze spiskowców: "Przypominam sobie owo przerażenie, któregośmy doznali na myśl, że wojsko nasze podzielić mogło w niedługim czasie wyprawę wojska rosyjskiego, pamiętni, że nie tak bardzo nie wpływało na utworzenie, choćby nawet czasowej, sympatii, jak skojarzenie miłości własnej w żołnierzu dwóch narodów, jak zwycięstwo razem odniesione, jak jedne nagrody odebrane; co stałoby się największą białą plamą przegrana dla sprawy niepodległości narodowej". Pamiętajmy, że w latach 1943-1945 Kościuszkowcy nie mogli uniknąć owego dwuznacznego braterstwa broni.

Wbrew wszystkiemu byli wśród Kościuszkowców ludzie twardzi i konsekwentni, patrioci bez reszty oddani polskiej sprawie, służący jej tak jak mogli. Przenieśli przez piekło łagrów i wojny swoją godność człowieka i Polaka, a jednocześnie swoją głęboką wdzięczność dla niejednego radzieckiego człowieka.

Zapewne długo jeszcze nie będziemy dysponować odpowiednimi materiałami źródłowymi dla opracowania historii zwykłych polskich żołnierzy z nad Okl. Prawdopodobnie długo jeszcze nie będziemy mogli takiego, jakże potrzebnego opracowania, mówiącego całą skomplikowaną prawdę, opublikować. Dlatego też, mimo iż "Kościuszkowcy" Wiktora Kulerekiego odbiegają charakterem i stylem od tekstów publikowanych w Zeszytach Edukacji Narodowej, uważamy za wskazane i pożyteczne przekazanie tej broszury czytelnikowi, zwłaszcza młodemu, skazanemu na oficjalne pół-prawdy, całkowite fałszy i groźne przemilczenia.

Rzecz o jednym z Kościuszkowców jest fotografią losu, przejmującą relacją, wstrząsającym świadectwem o bolesnych prawdach naszej historii. Niech uczy, przestrzega, każe zrozumieć skomplikowane koleje polskich dziejów, niech przekonuje, że w najtrudniejszych nawet warunkach można żyć godnie, być uczciwym człowiekiem i dobrym Polakiem.

Granatowa książeczka wojskowa nr 0210 686 serii C wystawiona 12 grudnia 1949 roku jest dokumentem nieomal autobiograficznym. Podstawą do zapisów obejmujących pierwszy okres - od r. 1916 /błędna data urodzenia/ do r. 1943 - stały się zeznania posiadacza. Niechronione w takiej sytuacji nieścisłości i pominięcia pomógł im swoimi błędami pułkownik kanceliści z przydadku. Wpisy ścisłe i dokładnie datowane pojawiają się dopiero od 1945 r., przy czym ostatni pochodzi z r. 1953. Lakoniczność adnotacji powoduje, że wizerunek jej właściciela jest wypaczony i wyblakły jak dawna fotografia. Przez dłuższy czas nie mogło dojść do rozmowy, która sarysowałaby wyraźniej zatartą, rozmytą w niepamięci przeszłość tego krzepkiego syna kłuzarza z nad Zbrucza, najpierw żołnierza, później niewolnika, a w końcu rozbitka z odległych kresów Rzeczypospolitej. Ilekroć udało się spowodować, że sięgnął myślą wstecz, tylekroć słowo Sielce stawało nieprzekraczalną zaporą na drodze pamięci. Powtarzało się niczym bezbłędnie utrwalony odruch warunkowy, niczym propagandowy slogan wczepiony w mózg. Długo brakowało słowa-klucza do tak zaryglowanej przeszłości, a gdy się znalazł - okazała się teraźniejszością.

Gdy mówił o niej łamiąc się ze swoim wzruszeniem - powstawało to, co przeszło i nie przeszło zarazem, co minęło a przecież trwało, to, czym nie dzielił się nawet z najbliższymi, nie chcąc gruzu przynieść do nowego domu. Może już przywykł do złudzenia, że sokoł ujęć prawdziwego, smartwiałego życia, gdy niespodziewanie znów stanął jej naprzeciw. Widząc jak za starzającą szwy milczenia pękają pod naporem otwierających się blizn, trudno było pytać o to, czego nie dopowiedział, co pominął. Zresztą nie chciał, by powstał zapis rozmowy. Powiedział po prostu: tego było dosyć. Chęć spokojnie dożyć zwyczajnej śmierci.

Zarówno ponowne nawiązanie do wydarzeń, które ekshumował z obszarów zapomnienia, jak i wierność jego życzeniu wymagały odwagi, której zabrakło. Wspomnienie zostało więc spisane ex post i nie doczekało się weryfikacji. Jest pełne niedopowiedzeń, może i nieścisłości, ułomne naturalną ułomnością ludzkiej pamięci i ludzkich uczuć. Dopiero znaczenie później uzupełniono je wypisami z nielicznych dokumentów, które pozostawił. Sprostowania, jakie nigdy nie padły podczas rozmowy, znalazły się w przytaczanych fragmentach w nawiasach kwadratowych.

Dzisiaj, kiedy już ostatecznie wymknął się wszelkim siłom, niech jego słowa nadal mówią o tych, którzy jak on płacili milczeniem za prawo do powrotu i życia we własnym kraju. Niech świadczą wbrew śmietnisku uwłaczających półprawd, przemilczeń i fałszów, jakimi przysypano ich pamięć.

x x x

I. Ewidencja wojskowa

1. Data urodzenia: 03 maj 1916 /1914/
2. Kategoria wojskowa: Grupa I kateg. pierwsza
3. Rodzaj broni: Artyleria
4. Podof. szereg. : podoficer
5. Nr specjaln. wojskowy: G
6. Nazwa spec. wojskowej: Obsługa dział artyl. lekkiej i ciężkiej
7. Funkcja wojskowa: Szef baterii
8. Stopień wojskowy: st. ogniomistrz

II. Ewidencja ogólna

9. Miejsce urodzenia: Województwo - tarnopolskie, Powiat - borszczowski, Gmina - /N/iwra, Miejscowość - /N/iwra
10. Zawód: prac. umysł.

11. Specjalność w zawodzie: magazynier
12. Narodowość: polska
13. Język macierzysty: polski
14. Znajomość języków obcych: rosyjski w mowie, niemiecki w mowie i piśmie
15. Wykształcenie cywilne: 6 kl. gimnazjum, Borszczów 1930 r.

III. Przebieg poboru

Data poboru, przez którą R.K.U. i orzeczenie komisji lekarskiej:

II 1936 wcielony przez R.K.U. Czertków

Do jakiej jednostki skierowany: 10 P/użk/ A/rtylerii/ L/ekkiej Kaniowski /

Rysopis: Wzrost cm. 168, obwód klatki piersiowej cm. 95/90

IV. Przebieg służby wojskowej

- II.36 przydziel. do 5 Bat. - celowniczy
- IX.36 przydziel. do szkoły podofic. - kursant
- XII.36 awans do stopnia bombardier
- II.37 awans do stopnia kapral - działonowy
- IX.37 zwolniony do rezerwy
- 24.VIII.39 /zdemobilizowany do 4 p.a.l. - działonowy /-31.VIII.39 zmoobilizowany/
- 18.9.39 internowany do ZSRB

W tym miejscu przerwał zmienionym głosem, a twarz mu pociemniała pod świejącym, szczecińskim zarostem.

- W niewoli! Ile razy pytali, tyle razy mówiłem - w niewoli. Z pyskiem naskakiwali na czowieka że to nie tak, że nie wolno, a ja zawsze twardo - w niewoli. Przecież w trzydziestym dziesiątym ruskie sami pisali, że rozgromili polską armię, a w ulotkach do nas - "Żołnierze! Bijcie oficerów i generałów!" Kiedy już nas mieli, chłopakom wpadła do rąk ich gazeta z mapą. Dziś też się inaczej nazywa to co z Polską zrobili, a przecież to był rozbiór. Na tej mapie widziałem jak ją przepołowili, akurat przez Warszawę, Dęblin, Przemysł. W książeczce nawet datę mi przelincowali, żeby wyglądało, że od razu po wszystkim było, a przecież dobrych parę dni się broniliśmy, zanim nas ogarnęli. Nie potrzebuje mi kto tłumaczyć jak to wszystko nazwać, bo w niewoli ja siedziałem.

Może w Tarnopolu, albo później w Wołoczyskach, to było internowanie? A Starobielsk, Sumy, Kuszwa i Bóg jeden wie gdzie nas porozwlekali! Szeregowym jeszcze najlepiej poszło, ale oficerów, podoficerów po szkołach, a nawet i takich co belek nie mieli a tylko wyglądali po miejsku, z pańska, to na oku trzymali. Sprawdzali takim wszystko, kto, skąd, co w cywilu robił, kim ojciec, kim matka albo i rodzeństwo. Dokąd blisko było do domu, dokąd człowiek ogłupiał nie uciekał. Wciąż mówili, że będą puszczać i ciągle się czekało, z dnia na dzień, aż powieźli dalej! Miesiąc nie minął jak rzucili do robót na warszawską szosę. Magistrala sowiecko-germańska drużby na naszych karkach pobudowana. W Brześciu to ponoc nawet wspólną paradę przyjaźni i zwycięstwa sobie zrobili.

W czterdziestym roku z powrotem na Ukrainę pchnęli, pod Sumy. Tam podziemne lotniska ryliśmy, korytarze, tunele, wyciągi, schrony. Kupę chłopaków zdążyli wykończyć przy tej robocie, zanim Niemcy wszystko zrabali z powietrza. Nikt się tego nie spodziewał, bo uderzyli od razu pierwszego dnia. Jeszcze świtu nie było jak ziemia cała poszła do góry. Palami nalatywali raz za razem, aż znowu cisza, a lotnisko przeorane, wyrwane na nice. Tych co się uratowali - znowu do towarniaków na ubitego, że zapachki nie wetkniesz. Zaryglowali i dalej na północ. Zarcia ani wody nie dali przez całą drogę, aż do Moskwy. W tym ścisku i smrodzie ludzie marli na stojąco. Pod Moskwą staliśmy długo i kłótnie o coś takie powstały wśród konwoju, że ludzie balli się wystrzelania albo i gorzej - baliśmy się, że nas zostawia zamkniętych na wyzdychanie. Łżej się zrobiło na sercu, kiedy skład puścili

dalej. Za Moskwę kazali trupy wyrzucić, a potem dali wodę w wiadrach i dalej na wschód. Straciliśmy rachubę czasu, gdy okazało się, że wyładowują gdzieś pośród tajgi. Znowu zwłoki rozrzucone wzdłuż toru naznaczyły miejsce postoju. Zaraz potem żywych zapędzili w kolumny i pognali dalej pieszo. Ludzie po tym co przeżyli w transporcie tak z siłą opadli, że co rusz któryś walił się na ziemię. Zaraz na takiego psy puszczały. Kto się nie poderwał - musiał zostać. Pod ręce nie pozwolili podjąć ani poprowadzić, tylko przędszej i przędszej. Tych, co upadli i pozostali na drodze już nie zobaczyliśmy. Widać sztykami zakłuwali, bo strażaków za kolumną nie było słychać. Wokół ciągnął się bór, bór i jeszcze raz bór mroczny, nieprzebrany a śmigły, że u nas mało gdzie taki.

Obóz nad rzeką nazywali Kuszwa, a gorszy był niż szosa, niż Sumy. Chojary się zwalają a później, okrzęsane, w dół trzeba było zwióżyć. Codziennie po czterech godzinach na dobę, albo i dłużej, nie licząc drogi. Gma była, jak z nar zwióżyć, o ómie ludzie wlekli się z powrotem, a wazyscy jak żebracy ostatni. Łapcie z żyka wyplątane na nogach, na grzbietach kaftany brudne, dziurawe, że żebra przez nie widać, a wkoło ci z psami. Linewki który popuścił, to przez łachy mięso z człowieka rwały. Za robotę dawali raz dziennie chleb, co go i pół kilograma nie było i dwa razy miskę ciepłej wody zaprawionej otrębami albo śmierdzącym czarnym krochmalem ze zmarłych ziemniaków. Czasem na okrasę trafiła się ryba solona. Chleb, choć twardy i ciężki jak glina z trocinami, kradli jedni drugim, z rąk wyrwali. Ci co od cyngi mieli dzięśka spuchnięte tak, że zęby kryły, to go jeść nie mogli, aż płakali. Ledwo dotknął, zaraz jeden ból i krew, zęby same wychodzą, a tu gryz, bo głód trzewia skręca. Kto normy nie wykonał to i tyle nie dostawał. Czy z tego głodu, czy z brudu czyraki się ludziom sypały. Najgęściej na szyjach, karkach, ramionach, a tu co rusz dźwignąć coś trzeba. Pękato to, ropiało i krew szła aż szmaty do żywego ciała przyrastały. To samo od wszy się robiło. Łachami wystarczyło potrząsnąć nad ogniem, żeby kapały niby deszcz, a gnidy jak jaka kasza oblepiały brody wokół twarzy.

Najgorzej żarł świerz b i mędy. Skórę w pachwinach i pod brzuchem tak niszczyły, że jedna rana, jeden strup się tworzył. Rwało potem przy byle poruszeniu i od tego znou ciekło, znowu zasychało, tak wkoło. Żywcom się gnizło bez mycia, bez dezynfekcji, bez opatrunków. Nawet mydła nie dawali. Tak dzień po dniu w tym umordowaniu przy robocie, w głodzie, w robactwie. Noc za nocą pół przespana, pół nie. Tak to byliśmy "internowani do ZSRB".

Jesienią zjechał do obozu jakiś komisarz sporządzić spisy Polaków. Mieli wysyłać do armii Sikorskiego. W ludzi nowy duch wstąpił. Odgłęli się, wyprostowali jakoś, o niczym innym nie było mowy jak tylko o tym, kiedy dadzą wyjść, gdzie powiozą i jak to będzie z tą polską armią u nich. Nawet konwojenci popuścili, psy krócej wzięli, a co poniektóry to i ludzkim słowem się odezwał. Kiedy przyszło komisarza odwozić, naznaczyli mnie do pomocy przy koniach, bo do kolei daleko się jechało. Z powrotem wypadło wracać samowtór z enkawudzistą z obozu, a że droga się dłużyła i jazda usypiała - zaczęła gadać. Okazało się, że też z Ukrainy rodem, choć dalej ze wschodu. Gdy seszło na rodzinną wieś, na dom - nieoczekiwanie coś w nim pękło.

- Jaki tam dom? Ze dwadzieścia parę lat minęło jak ojca, matki na oczy nie widziałem, pewnie już i pomarli za ten czas. Brata rodzzonego wtedy zastrzelili, ot i cały dom. Życie schodzi na służbie nie przymierzając jak psu, tylko uszy kładź i ogon podwijaj, a jak linewki popuszczą, skacz do gardła drugiemu, żeby sobie się nie dobrali pierwiej. Takie to życie. Wówczas do domu na wigilię przyjechałem. Przy stole rodzina się spotkała - ojciec, matka, siostry trzy, ja z Czerwonej Armii i on. Okazało się, że białoogwardzista. Wstałem, dzielił nas obrus biały, świąteczny, nad nim strzeliliem prosto w czoło jaane... Potem odszedłem i nie wiem, co się stało dalej. Ot, co zostało z domu. Tyle że człowiek żyje jak zwierz jaki, jak ohojar w tajdze i nie wjęcej. Może to i lepsze niż całkiem zgnić w matce ziemi. A i ty jeszcze żyjesz - zwrócił się niespodziewanie do jeńca. Nie jak twoi bracia Polaki co ich w Białym Morzu ryby żrą. Całe barki zatopiłiśmy, ani łeb nie wychynał. Tysiące tam były waszych pograniczników,

policji a i cywilów dość. Wszystko poszło pod wodę. Czysta robota. Tak i nie narzekaj, bo żyjesz ciągle jeszcze i ciągle może się odmienić. Jak dobrze pójdzie to przeżyjesz, powojujesz jeszcze i dom zobaczysz, matkę powitasz.

Potem zaczęło się czekanie. Mienią zima. Z wiosną, jak rozmarzło, trupy znów zaczęto grzebać na bieżąco. W barakach robiło się nas coraz mniej i powoli odchodzili nadzieja. Wtedy zaczęły się ucieczki. Zrazu pojedynczo, trafiały się rzadko, a czasem stały się coraz częstsze. Jedyną możliwą drogą wydawała się rzeka i wzdłuż niej uciekali. Nie w górę, bo tam coraz wyżej i głusz bezludna, bezdroża, ale w dół rzeki szli. Znikali zazwyczaj ze świtem jak się do roboty w tajdże stawiało. Kawał drogi mogli odwalić za dnia - inaczej borem nie pójdziesz - zanim wieczorem się pokapano, że ani w robocie ani w obozie, ani żywego ani martwego nie ma. Chocł szukać można było dopiero następnego dnia, i tak prędko ich przywozili spętanych jak barany. Wywiekali skrzwawionych, obitych nie do poznania, skłutych bagnietami, w łachach ze szczeniem porwanych przez psy i gnali kołbami do karceru. Widać, że rzekę mieli dobrze obstawioną i znali miejsca, w których zwierzyzna wychodziła na straż. Tam czekali. Jak którego ubili, to potem rzucali pozszarpane ciało u wrót, na postrach brygadom wychodzącym do roboty. Strzelali mało. Woleli zwozić półżywych. To robiło większe wrażenie na pozostałych, odstraszało. Pół biedy, jak taki nieszczęśliwy jeszcze powłóczył nogami. Gorzej jak go wlekli i ani zgadniesz - żyw jeszcze czy trupa taszcza. Wtedy patrzyliśmy, czy do karceru się z nim biorą, czy przed wrota. Zresztą żywych po ucieczce też szybko wykańczali. Głód, robota pod specjalnym nadzorem, pałki. Jak dalej nie szło, to w końcu dostrzelili. Chłopaki tylko patrzyli po sobie. Wiedzieliśmy, że czy tak czy inaczej, to jednak koniec nam pisany. Nie mijęło parę dni jak następni szli w tajdę. Niektórzy próbowali w nocy rzeką spływać na spiętych kłocach. Nic nie pomagało. Zdawało się, że nie ma sposobu.

Patrzyłem i ja na to wszystko, przemysliwałem, że nie tędy droga, że inaczej trzeba ich zażyć, ale szła zima. Była ją przetrzymać, tę ostatnią... I przetrzymałem. Ludzie padali od biegunek, wysychali z głodu na wior. Niektórzy ślepli bez mała z dnia na dzień. Innym się rany otwierały. Otarł się człowiek, uderzył, potknął o byle co przy wyrębie albo przy okrzyszowaniu i zaraz wybroczył, a potem rany. Od brudu ropiały i nie chciały się goić żadnym sposobem. Najbardziej pokaleczone były nogi i ręce. Zuło się na to igliwie młode z jodeł, albo sok się z niego wyciskało i mieszało z wodą do picia. Niewiele to wszystko pomagało. Ginęli chłopcy w noc i w dzień, na narach i przy robocie. Świtem ciała z baraków wyciągnaliśmy, a na noc z poręb się je zwoziło. W tajdże ludzie zamierzali nie wiadomo kiedy. Między pniakami, w wykrotach, wśród gałęzi, gdziekolwiek przysiedli ze słabości, na chwilę przytuli się przed wiatrem i śniegiem, a już po nich. Szukało się potem po nocy przy schodzeniu z poręb, a kiedy przykurzyło mocniej to bywało i tak, że dopiero z wiosną znaleźli. Gdy reszki śniegi - ptactwo naprowadzało na truchło ukryte między stosami jodkowych łap albo w jakiej rozpadlinie. Tak trafiano i na uciekinierów. To wynajdywanie trupów po robocie tyle czasu zajmowało, że ludzie wnet nauczyli się rozpoznawać takich, których po dniówce trzeba było znieść do obozu i trzymali ich na oku. Jeśli więcej umarłaków się zebrało, to i na płozach ciągnęliśmy z powrotem.

Widać było że to koniec. Z trzech tysięcy co nas zwieźli do tajgi mało kto został. Wychodziło na to, że robia z nami to samo co na Morzu Białym, tyle że innym sposobem. Nie pasował do tego tylko przyjazd komisarza. Nie dziwne było że nie wypuścili, ale po co gadanie o armii, co co spisy żywych. Tak czy inaczej trzeba było się zbierać, póki można na własnych nogach. Zaczęła się liczyć każdy dzień, byle dotrzeć jak śniegi puszczą. Aby doczekać, trzeba było jeść i oszczędzać się; aby jeść, trzeba było żyły wypruć i normy wyrobić. Ani tak, ani tak nie wychodziło. Kradliśmy. Do dziennego urobku dorzucaliśmy ile się dało z dnia poprzedniego. Zaczęliśmy wtedy też żuć paki jodkowe i łuskać nasibna z szyszek znalezionej w koronach obalonych chojarów. Była dotrwać. Powoli człowiek wszystko sobie przemyslał, ułożył.

Widać było, że należy brać się w górę rzeki, a nie z biegiem, bo tam czekali. Baken się gór. Ledwie człowiek nogami wiozący, może i przez tajdę się nie przedrze - tamci w końcu zawsze do rzeki schodzili - a tu w góry leź. Zakrawało to na samobójstwo, ale innej drogi nie było. Góry też się gdzieś kończą, ale Bóg da, że z tajgi się wylezie i spotka człowieka, a nie wilka. Łapacze po ucieczce szukad będą jak zawsze w dole rzeki. Przez ten czas syska się dwa dni albo i trzy. Potem trzeba się gdzieś przycisnąć, przeoczekad i znaleźć coś do jedzenia. Jedno trudne było wyliczyć - jak bardzo człowiek zeszał. To była czwarta zima w niewoli.

Wiosna... wiosna tam nie jak u nas, pomaluszku, ale nagle od jednego razu robi się ciepło i deszcze rześiste, ulewa. Zieleni się wkoło wszystkim nie wiesz kiedy i jak. Tylko chojary czarne czekają, zanim zaświecą jaskrawością młodych igiełek. Przez parę dni odkładałem i chowałem częstąkę chleba na drogę i żyłem prawie tą śmierdzącą polewką. Dzień trafił się dobry, bo psy nie mogły pójść za tropem - lato aż szaro dookoła, na parę kroków nic nie widać. Wyrwałem w górę i w górę rzeki blisko wody, by kierunku nie zgubić. Do nocy szukać nie powinni. Przemoczony kaftan się zagrzezał, że strupy odmiękły a wszy żarły jak w piekle. Tarzałem się chciało na ziemi, ale i tak rany się pootwierały. Chleba trochę zjadłem w południe i drugie tyle przed nocą. Jeszcze o szarówce trafił się potok, którym można było odbić się w bok od rzeki i przywarować gdzieś w jarze. Choć śnieg w załomach jeszcze leżał, znalazłem suchą jamę pod nawisem, ale ciepłej od tego się nie zrobiło. Marzałem całą noc aż trzęsło, bo łachy ze szczeniem przemokły. Chleba reszta poszła przed świtem. Chociaż było coraz trudniej, pohałem się dalej wzdłuż rzeki bo ulewa nie cichła, a i liczyłem, że jak wszystkich, tak i mnie będą czekać gdzieś niżej obozu. Na dobre zostawiłem ją przed wieczorem, kiedy znów strumień się nadarzył, tyle że cienki i niezadługo trzeba było go porzucić. Wykrotu dobrego też zbrakło i noc przyszło przeoczekad pod jodłą starą, co łapy szeroko rozpostarte tak nisko opuściła, że aż igły z ziemi miotły. Wpeżłem pod nią, igliwia między korzenie jak ławy wysokie nagarnąłem i znów mokre szmaty przez całą noc wydzierały kościom resztki ciepła. Znowu silnym nieczym febra roztrzęsło człowiekiem tak, że pójść dalej wydawało się niemożliwe.

Chleba nie było i za szyszkami się oglądałem, ale za wysoko, a opadłe - puste. Przez tajdę od rzeki w górę się przebierałem. Między pniakami kłuczyć trzeba, omijać, zawracać i znowu brodzić w mchach wodę nasiąkniętych jak gąbki i czepiać się gałęzi oslingłych. Trzewia wykrcęcało z głodu i umęczenia, że zacząłem żuć paki i szukać porostów rozpęczniałych od wilgoci. Na noc zapadłem jak poprzednio. Usnąć nie było sposobu, a kiedy oczy same się zamknęły, zaraz podrywało, żeby iść dalej, waliłem łbem w gałęzie i z powrotem na ziemię. Tak szeszo do rana. Ledwo przebijając się do przodu i rachubę dni straciłem, choć przecie niewiele ich było. Mało brakowało bym został w tej gestwie. Cma w oczach, a w głowie jakby dzwony biły. To już nie była droga. Gramoliłem się jak chrabąszca i zapadałem w spróchniałe pniaki. Nie jeden raz nie wiem, ile przeleżałem, zanim się podźwignąłem. Nogi i ręce krwawiły od wydobywania się z tych zapadliak, a sił brakło do tego, by oglądać się z czymś do zarcia.

Miało się ku wieczorowi jak tajga zrzędzła, nieszczęście się pojawiło, że tu pławarta przestronę jak ogromnych. Ciągnęły się jak okiem sięgnąć i wiedziałem, że tej pustaci już nie pokonam, że to koniec drogi. Siabosc taka przeniknęła ciało, że co głowę uniosłem ponad trawę to widzenie traciłem i ciemność świat cały ogarniała. Niskie słońce lunę na całe niebo kładło, a długie cienie po łakach, kiedy z boku, przy samym skraju pod borem jakaś drobina się poruszyła. Coś białego to zaświeciło, to zgasło raz w jednym, raz w drugim miejscu, przy czym te polyski przesuwaly się zwolna w jednym kierunku. Tam były... krowy łaciate, mleko... ludzie. Popróbowąłem wstać o kiju i pójść brzetkiem, gdzie drzewa i zarośla nie gęste a trawa jeszcze nie wysoka, jednak nogi tak zmękły, odrętwiały że kępy, to znowu zagłębienia pod borówczyskami i korzenie nie pozwoliły ująć daleko i ryłem co chwila łbem w zielska. W końcu przyszło na to, żeby polecieć się w tą ciemność na przelać przez łaki na czworakach. Głęboka noc była, gdy

dopekłem do koszar. Jakby krew cała z człowieka sprygnęła, kiedy ujadanie owczarka mrok rozzerwało, ale grał wysoko, widać kundel nieduży, nie wilk szosowy. Nie podszedł blisko, tylko jak biały prąmyk z traw wyokakiwał, to ganił w nich na powrót, aż baby dwie z szaszasu wywabił. Żagwiami poczęły świecić, potem rzucić nimi, a ja stanąć na nogi nie mogłem, gardło jakby kto garścią zacisnął - ani głosu wydobyć. Szczęściem wszystko tak złane deszczem było, że promień mało co osmolił, skwiercał i gasł nie imając się traw ani resztek kaftana. Niedowiedzia chyba się baby, ale że nie umykałem od ognia, to jedna zbliżyła się i zaraz do drugiej cicho krzyknęła - biegcie! Za chwilę i tanta smolakiem świeci, patrzy i pyta - skąd? Powiedziałem to co same widziały - z lasu. Gdy usłyszały, że Polak - jakby zmiękkły, żagwie wzięły do ziemi - co my z tobą pocznemy - powiadają. Dźwignąłem się i patrzeć co będzie, ale zaraz w oczach mi się troję, oiały kundel i światło z odrzwy chałupy wirują - zwałem się z powrotem, aż pies z ujadaniem odskoczył.

W chałupie na ławie oprzytomniałem i zaraz ten zapach mnie ogarnął jak obłok anielski - na ogniu sagan ziemniaków parował. Znowu zamęciło się w głowie i wewnątrz do gardła podchodzą jak wyżęta ścierka. Zobaczyły co się dzieje, parę ziemniaków utłukły na misce... ten smak będę niósł do końca życia. Wówczas zanim się obejrzałem sagan znikł. Baby się zmarnowały mnie do końca, jadem po takim głodzie. Dalej długo nie czekałem. Nie pytając wiele, łachy sawszawione zwlekły, do ognia wapchnęły, a mnie do mykwy. Woda at osarna poszła, później bota od ropy i krwi. Mydliły i polewały z cebryzka, znowu polewały i mydliły powoluśku, ostrożnie, że i rodzona matka lepicy nie potrafi. Gdzie rany, tam winęły w gałganki czyste co je do mleka miały pod ręką, i zaraz pod derki zapakowały. Zatraciły się dnie i noce, bo baby budziły tyle co do jedzenia - a zawsze je wydzielały skapo i mleka po troszeczku dodawały z wodą - po czym znowu człowiek spał i spał, bo dojść nie mógł do siebie, co się podniósł to znowu z nóg leciał. Prawie trzeba było się uszyć chodząc od nowa, jak dziecko. Liście jakieś kładły i sypały coś w miejscach, gdzie ciało się poostwierało i ropa szła, a wszystko tak, że nawet nie wiedziałem kiedy.

Dobrze po południu było, kiedy końskie kopyta posłyszalem i turkot jakiejś. Wpadły obie do izby - przedsiębiorca z kończozu naszego jedzie, gadać wszystko jak jest, po prawdzie. Człowiek z niego sprawiedliwy, frontowiec, jak dobrze pójdzie to jeszcze pomoże.

Chwilę przed chałupą rozmawiali i zaraz drzwi się otwierają - wszedł sam. Wysoki, postawy, trzymał się po oficersku, do tego siwy jak gołąb i bez jednej ręki. Chwilę milczał, patrzył nieruchomo jak kobuz, a potem w złał. Derkę zostawiłem i stanąłem przed nim jak Pan Bóg stworzył, tylko te gałganki przyschnięte, to znowu odlatujące, przystrojone. Popatrzyłem, obrócić się zaczął, znowu popatrzyłem. Wracaj pod derki - mówi - i gadać. Powiedziałem wszystko jak mi baby poleciły. Znowu wlepił te swoje ślepis, długo nie przemówił, aż - Czekaj - powiada - pokąd po ciebie nie przyjadę, z chałupy nie wyjad, a jakby kto się pokazał, to górą na siano przeleź i siedź, póki nie pójdzie.

Wrócił zaraz na drugi dzień, przywiózł drelichy stare, z frontu widać, bo postrzelone i połatanne, sprane do czysta. Buty też jakieś przechodzone ale dobre,aperskie dał i zaczął zabierać się do bryczki. Koń przy niej był tak piękny, cały siwy, jabłkowity, jak jeszcze nie zdarzyło mi się u ruskich widzieć. Anim zdążył babom podziękować, pożegnać się, jak już przez łąki w dół, na przekał mnie wiozł.

Noa była kiedy wyjechaliśmy nad rzekę, a potem dalej, wzdłuż brzegu sadzonego wielkimi drzewami niby aleja ogromna. Woda coraz to przebyskiwała między konarami i pniami śmigłymi, a tak grubymi jak u nas rzadko się trafi. Swobodę pierwsze raz poczułem jak człowiek a nie jak uchodzący zwierz. Zanim z lasu wyskoczyliśmy, Mikołaj Pietielimow - tak baby go nazywały - nakazał przysiąść na dnie budka, za kozłem. Nawet jeśli by ktoś bryczkę sobaczył, to uwagi nie zwróci, bo ludzie wiedzą, że lubi samotne objazdy dalekie.

kich pastwisk i łąk. Gdy ukazały się tyły zabudowań, pokazał z daleka stodołę, gdzie u dołu uchylone deski czekały. Zwolnił przy niej i zanim przejechał, zsunął się na ziemię chyłkiem przez otwór przemknął szaszajając deski na swoje miejsce. Psy zaszczekały, ale szybko ucichły, kiedy koło bryczki zatoczył i wjechał między budynki. Na przągorku znalazłem jedzenie, a potem zaszyłem się w sianie. Widać było, że Mikołaj nie wyda, choć jednym słowem nie zdradził, co gotuje.

Niebo szarzało dopiero, kiedy zaczął brać się do bryczki jak poprzednio, za siedzenie. Trudno było się umieścić, bo pod derką jakieś skrzynki stały i kosz - był odeń zapach jedzenia. Okazało się, że znowu na łąki małe wiecie, lecz nie tam gdzie pasą, ale na kośne, dalej w górach. Umyślił, bym ukrył się na odludziu, gdzie człowiek zagłada dopiero na sianokosy. W skrzynkach było trochę gwoździ i narzędzi niezbędnych do naprawy szaszasu, do tego parę garnków, a w koszu znalazłem później chyba wszystko, co tylko do jedzenia w chałupie mógł znaleźć, kasza, mąka, woreczek ziemniaków i trochę cebuli, garnek kapusty w pokówie z brusznicami zakiszonej, drugi mniejszy zasolonych grzybów, butelka oleju a nadto nawet kawałek słoniny i nieco świętego cukru do herbaty. O derce nie zapomniał i o starej fufajce na zimne noce. Zapalek zaczął pilnować i w ceratę owijał, by nie zamokły, bo ogień przeciw niedźwiedziom trzeba było palić. Ponoć bywało, że pokaleczyły ludzi szukając jadła po ziemi.

Łąki były ogromne, jak wszystko tam, a nad nimi morze obłoków. Kiedy mnie zostawił samego pod tym niebem zachmurzonym, pośród wiatru, klęknąłem i modliłem się jak dawniej nie potrafiłem. Dziękowałem Najwyższemu za to, w co odgale uwierzyć nie mogłem. Bałem się, że to wszystko jest tylko snem przedśmiertnym, bo te są najpiękniejsze. Dziękowałem za Mikołaja i za te dwie kobiety. O łasce dla nich prosiłem największą i niepojętą, jaką tylko On może zesać człowiekowi. Klęcząc, piłem zimną wodę ze strumienia, tak czystą, że najdrobniejszy kamuszek było widać. Patrzyłem jak wiatr obłoki pędzi i trawy marszczył niby jezioro, i znowu się modliłem o tych co pozostałi, i znowu się lękałem, przepatrywałem dolinę wkoło.

Początkowo nie szło brać się do roboty. Najwięcej człowiek spał, mył się, smarował maścią, co ja Mikołaj zostawił, trochę pitrasil, a potem brodził po łąkach, nie przymierzając jak nawiedzony. Dobrych parę dni minęło, zanim zabrałem się do łatania szaszasu. Ogień tylko nocą na klepsku paliłem, żeby dnem dym nie zdradził, a w nocy żeby światło złego nie sprowadziło.

Priestodiatel przyjeżdżał nieczęsto. Raz podrzucił trochę starych, pociemniałych dranic, kiedy indziej przywiózł chleba i mleka, po szaszasie się rozejrzał, małomówny, milczący jak zwykle i odjeżdżał z powrotem. Któregoś dnia ujrzałem go poruszonego. Chodził pogłoski, że będzie nowe polskie wojsko, mówiło się coś o Wasilewskiej. Pytałem, czy pójdę. Kiedy odpowiedziałem, że choćby i dziś, to poklepał po ramieniu i radził poczekać, nie spieszyć się. Nawet gdy ogłoszono pobór - nie pozbył się ostrożności. Dopiero upewniwszy się, że w okolicznych wojenkomatach idzie zaciąg do polskiej armii i mając pierwsze wiadomości o Sielcach, zdecydował, że nadszedł czas. Jak poprzednio, tak i tym razem nie uprzedzał o swoich planach. Nie zdradził nic ponadto co i wówczas - że mam czekać.

Musiał z chałupy wyjechać jeszcze w noc, bo na łąkach był przed świtem. W bryczce leżał worek z paroma bochenkami chleba, cebulą i kawałkiem słoniny. Przygotował to na dłuższą drogę. Ułożył sobie, bym nie zgłaszał się ani w miejscowej obłasti, ani w sąsiedniej. Po przewiezieniu do którejś z dalej położonych stacji kolejowych, gdzie był nieznany, chciał wsiadł mnie do pociągu i wyprawił aż do Omska. Dopiero tam miałem zgłosić się w komisariatcie wojskowym jako bieżeniec, żyjący z dorywczego zatrudnienia. Radził zmieścić nazwisko, tym bardziej że nie posiadałem dokumentów. Plan ulegał zmianie w razie jakiegos przedwczesnego i nieprzewidzianego spotkania. Całe tłumaczenie było takie, że zabrał mnie z drogi i - jak chciałem - wiozł do wojenkomatu. Wówczas zaczynałem rozumieć milkliwą ostrożność Mikołaja. Niejednym raz musiał być zwierzyńcem, skoro zelała wietrzyk z daleka i znał zwycięsze

rowców. Był sprawiedliwy, ale i przemysłny.

Na miejscu wszystko sam zakatwił. Bilet do łapy mi wcisnął razem z rublami... i poszedł. Tyłem go widział. Bryczka zatrukotała, zaskrzypiała, a ja zostałem z workiem w jednym ręku, z biletem w drugim. Ani się nie pożegnaliśmy, ani słowa podziękowania nie wyrzekł. Drugo jeszcze tyłem tym, co do worka mi wrzucił, a do dzisiaj codziennie proszę i do końca swoich dni będę prosił, by niebo zostało mu uchylone.

Niejedna doba upłynęła, zanim dobiegłem do Omska, a stamtąd nieprędko wyszliśmy do Sielc. W wojskomacie mówiliem szybko jak kazał. Oczekali z tydzień albo i więcej, dokąd nie zebrało się nas około dziesiątki. Ponieważ zgłosiłem się wcześniej od pozostałych, kazali mi prowadzić grupę. W Diwo- wie na stacji spotkaliśmy pierwszego oficera w rogatywoce z orłem. Był to major Grosz. Ludzie patrzyli i w oczach mieli łzy. W Sielcach okazało się, że jestem jednym z nielicznych podoficerów artylerii po szkole. Wziął mnie do siebie pułkownik Bukojemski i kazał się zająć ludźmi, którzy do niego napływali. Później zaczęła się robota przy nauce oficerów polskiej mowy i polskich komend. To złą krew robiło. Ludzie chcieli pod swoimi skrzydłami, a tu znów pod ruskim. Polacy byli tylko na samym dole i paru dla okraszy na górze. Całe dowodzenie w obcych rękach. Wtedy mi się przypomniało - "Żołnierze! Bijcie oficerów i generałów!" Teraz, kiedy opanowali komendę - pozwalali na oficerów i generałów, nawet na kapelanów. Polska budiet, tylko Faljakow niet. Powoli człowiek zaczyna rozumieć, jak to może być.

Po paru miesiącach szkolenia rzucili na front. Każdy niby wie coś o Lenino, ale po prawdzie mało kto i mało co wie. To było zwycięstwo, ale nie nasze. Ze trzy tysiące chłopców z pola zwieźli, dwa razy tyle co Niemców, a front od tego nie drgnął. Najpierw przy działkach robotę skrócili o połowę. Ani wzgórz nie zdażyło się dobrze obkochać, jak pierwszy rzut posiadł do przodu. Ledwie z tranzei wyskoczyli i na przedpole wyszli - już nadział się na sztych. Dalej było to samo, bo wał ogniowy przerzucać kazali co drugą linię, a potem chłopcy dostawali ogień z bliska, w twarz. Niemiec miał całe gniazda nie ruszone przez nasze baterie. Kiedy wynieśli go w przodzie, to zaraz na skrzydła wlaź, bo ruskie się nie ruszyli i były odskonięte. Trygubowe, co na ich pasie leżało, nasi ludzie musieli brać, żeby się ratować... i wzięli, a oni nie mogli? Wszak wpuścili nas na parę kilometrów i dali zrobić z ziemi i z powietrza. Nawet amunicji nie było tyle, ile trzeba. Z powietrza ochrony żadnej i na niebie jak w trzydziestym dziewiątym - sami Niemcy, ruskie ani się pojawili. Nasi trzymali się w tym piekle dwa dni i wszystko na nic. Front ruszył dopiero następnego roku. Kto mi wytłumaczy, po co to wszystko było? Na co ci, co ledwie wynieśli głowy z żagrów - już je pokoczyli na tej samej ziemi? Po bitwie gotowało się w całej Dywizji. Berlinga i politruków kłępi po maci, tak samo jak ruskich, że dali ludzi wybić po prócnicy.

Potem staliśmy na zapleczu, pod Smoleńskiem. Sam środek zimy był, kiedy utworzyli tamte groby, w lesie. Ze trzystu nas wybrali i na wycieczkę powieźli nad jamy rozgrzebane... Panie! Ja ich widziałem... Uklękłem i jednego z nich dotknąłem. Gwiazdki trzymały się na naramiennikach, pas, koalicyjka, guziki z orkami w koronach... Tylko twarzy nie było. Jakby im kto tę twarz wyrwał, wyszarpał z głów. Musieli ich strzelać po jednym, z tyłu, od karku, że tak twarze rozniosło. Kto raz to zobaczył - nie ma życia dla niego, z pamięci nie wydrze i co rusz mu się znowu przywidzi. Tam, nad tymi dolami, nie było nocnych. Każdy jeden płakał jak dzieciak. Wtedy chłopcy przestali gadać o Lenino. W oczach stały tylko te jamy rozkopane i oficerskie truchła na śnieg wywiezione. "Żołnierze! Bijcie oficerów i generałów!". Co poniektórzy wiedzili spod ozygłego noża uszli i trzymali język za zębami. Ja też chciałem matkę zobaczyć i zabrać z Niwry. Dość ich zaszła w dwudziestym roku. O braciach nie miałem wiadomości do dziś i chyba nie przeżyli.

Pod Żytomierzem zdawało się, że na rodzinne strony wyjdę, ale później rzucili w bok, pod Łuck i nad Bug. Niwra na południu została. Wtedy, w Polsce, podziękowania błękitne dali za Bug.

- Niech żyje Wolna Demokratyczna Polska! Śmierć niemieckim najeźdźcom! Marszałek STALIN, Wódz Naczelny Armii Czerwonej, rozkazem z dnia 19 lipca 1944 r. wyraża podziękowanie artylerzystom I-ej Armii, w tej liczbie i Wam, Obywatelu Ogniomistrz... za udział w walkach o przeżamanie silnie umocnionej linii obrony niemieckiej nad BUGIEM. CHWAŁA POLSKIM ARTYLERYZYSTOM! Lipiec, 1944 r.

Dowództwo I Brygady Artylerii im. Józefa Bema d-ca pułku...

Tak było na zmianę, nóż to trzebił, to głaskał. Pod Puławami zapowiedział Czerniaków. Przeprawę robiło się bez sprzętu i ludzie na przyczółkach zostali wytraceni. Grać mogło wszystko tylko wtedy, kiedy nas z ruskimi przemieszali. Sprzęt do przeprow był, amunicji skoło ugodno, wsparcie artyleryjskie takie że ziemia się gotowała, a i z powietrza Niemiec spędzony. Tak było nad Bugiem i tak pod Warką. Tam czekaliśmy, kiedy pójdziemy pod Warszawę. Długośmy na to czekali, za długo. W Wildze chłopaki codziennie i bez końca o niowym innym, tylko kiedy i kiedy? Jak się nawinał kto z dowództwa frontu, to zaraz do niego jak do cyganki - kiedy na Warszawę? Aż jeden taki syn któregoś dnia odpalił - Spakojsia rebiata, tam pomieszczyki bjujsia, kak wybijujsia, tak my nastupljenje sdiężajem...

Ludzie mało wtedy rozumieli z tego, co się działo. Kiedyś w lubelskim, we włosce kwiaty nam wciskali, cieszyli się, śmiali się, aż jeden porucznik z parku artyleryjskiego nie wytrzymał - I czego, czego się cieszyicie? Ze jeden poszedł, drugi przyszedł? Czekaście a dobrze patrzacie co idzie.

Obejrzałem się wkoło, ale samowtór w gromadzie byliśmy. Chyba niewiele z tego zrozumieli. Wyglądało na to, że tylko jedna starucha miarkowała niecoś. Stała z tyłu, oczy wyblakłe spod chusty w nas wbiła i ani drgnie. Widywałem takie baby na Ukrainie.

Wreszcie przetrucili pod Pragę. Czarny tuman niósł się nad Warszawą jak ściana, a nocą kuna biła na całe niebo. Wiatr nosił zwęglone strzępy aż do nas, na lawety dział, na przedpiersia stanowisk. Ludzie podejmowali to w dżoniach lekuchno jak jakiś opłatek i oglądali, jakby mogli coś z tego wyczytać. Tej nocy mało kto przysnął, choć zwyczajna pukania. Pieńko nastąpiło dopiero ze świtem. Okazało się, że nasi już chwycili przyczółek. Zgrabnie Niemca zrobili... ale na tym się skończyło. Kiedy obkoczył ich ogniem, to nie pozwolili nam się odgryźć, przynieść baterie bijące w desant. Ani się chłopcy obejrżeli jak ruskich mieliśmy na karku. Z początku nikt nie zwrócił uwagi, bo łącznikowych i z dowództwa frontu dość się kręciło. Powoli wyszło, że nie tylko przy sztabie, ale i w łączności, i w bateriach - wszędzie byli, choć przecie i bez tego wszystko trzymali. W baterii dowódcą był Iwan Kaczurów, porucznik, który nie mówił o sobie inaczej niż "donskoj kozak". Oficerem ogniowym był Wasilij Siergiejew, też porucznik krasnoarmiejeec. Z Polaków ledwie ja - szef baterii - i Zygfryd Jamer, piasarz baterii.

Ludzie początkowo tkwili przy działach, czekali. Później, kiedy dorozumieli się, że nic z tego nie będzie, że przepaść, to jakby ich poraziło. Słuchali co z tamtej strony grają i zgadywali: naważa - spychają naszychę; szporowy kładą - przeprawę rąbią, nekający - pieriedyszka. Potem zaczęli pić. Dość tego towaru było, spirytus w beczkach stał. Pili i kłępi, pili i płkali, pili i bluźnili. Najwięcej ci z łączności. Oni wiedzili, co się tam dzieje, prawie w oczach mieli tamten brzeg. Łączności nie ma - mówilo się - i koniec.

Panie... tam nasi prawie kilometr brzegu trzymali, dwa kwartały miasta. Można było ścianę ognia wokół nich postawić. Tak samo podczas przeprow. Wiadomo było, skąd Niemiec bije. Przez tyle dni i nocy można było go w ziemię wgnieść ze szczeniem, ale nie, nam strzelać nie kazali. Patrzyliśmy gdzie nocą świeci nad Wisłą, gdzie znowu rąbią przeprawę bez osłony. W powietrzu było to samo. Niebo nie nasze było. Sztormowiki może z raz się pcjawiły i na tym koniec. Nocami puszczali pojedyncze sztuki tych swoich lotawców, kukuruźników, na śmiech ludziom. Tak z dnia na dzień, z nocy na

noc szło. Wydusili nasze bataliony na tantym brzegu, jak koty. W wodę i w ziemię znowu poszło tyłu, ilu pod Lenino. Zapiłem wtedy i ja. Choć długo gęby pilnowałem, w końcu farbę puściłem. Anim wiedział co, kto w pamięci zakarbuje, żeby człowieka sprzedać. Nie od razu z tym wyskoczyli, nie... Dali jeszcze powojować, a kiedy cało głowę wyniosłem, to wtedy przypomnieli. Siła chłopców tak skoczyła po wojnie. Tym na górze chyba nie lepiej szło. Pierwszego wzięli Galickiego generała, choć ruski człowiek. Przyczoszło. Największy chwycił i tydzień czasu bez wsparcia utrzymał. Zaraz po nim zdjęli Berlinga. Od Siela do Warszawy nas doprowadził i kamień w wodę. Po nim same ruskie genierały Armią dowodzili do końca.

Po wszystkim tkwiłszy w sośniakach pod Zagórzem. W tej gęszy trzymaliśmy ze trzy miesiące, na zapomnienie. Dom na stoku wśród boru jak stał, tak stoi, tylko stare dęby pogrubiały jeszcze bardziej przez te trzydzieści lat z okładem. Dzikie wino, posadzone już po powrocie, też się rozrosło i po filarkach ganku wyżej tarasu wylazło, aż je spod dachu wycała trzeba. Później ule kręgiem pod dębami rozstawiłem, jak stały w Niwrze opodał ojcowskiego młyna. Wtedy, w czterdziestym czwartym, tak się złożyło, że tu dom znalazłem, jakby już zawsze mi pisano w borach siedzieć. Trzeba było zabierać się dalej, gdy wiadomość od matki przyszała. Jeszcze zdążyłem napiśtać, aby przyjechała czekać tu na miejscu. Nawet jeśli mi stuknęło gdzieś po drodze, to też mogła liczyć, że do dobrych ludzi trafi, co jej pozwolą kości złożyć w Polsce.

W styczniu znowu przyszło zawadzić o Wilgę. Do przeprawy szliśmy i trafikiem na jednego stantąd, z tajgi. Na tyle wypatrywania, na tyle ludzi, tyle czasu - on jeden się trafił. Droga wąska była i mieliśmy przepuszczać podziernie. Na bok zjechał cięgnikami, te i tak sobie ze śniegiem poradzą, a po ubitym już pchały się naprzód ciężarówki, kiedy gdzieś zator powstał. Wozy z modzierniami stanęły i wtedy go zobaczyłem. Wyskoczyłem na drogę i do niego, na stopień. Poznajesz - mówię. Oba nam słowa w gardkach grzeszy. Widziałeś jeszcze kogo? Kto wyszedł? Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczyma, jakby z trudem przedzierał się myślą z powrotem w tamten świat. Przepatrywałem - powiada - chłopaków cały czas, ale nie. Ty pierwszy. Jakes się wydostał?

Krzyczał jeszcze coś, ale już silniki wyły na jedynekach, koła w poślizgu śniegiem młotki. Zeskoczyłem ze stopnia... bałem się odpowiedzieć. To już pozostało we mnie. Przecież on wiedział co było z mną... a może i nie wiedział? Stałem w śniegu, a ich wozy szły jeden za drugim, i następny, i następny. Było nas trzy tysiące...

Do przeprawy zesłaliśmy zaraz za nimi. Już za Wisłą rozwalilo przy mnie, aż rzuciło oszkiełkiem jak gałganem. Lewe ucho głuche do dziś. Po drodze też żelazem smagnęło. Laurkę czerwoną za Warszawę dostałem już w lazarecie. Nie za przyczółki wrześniowe dawali, ale za wyzwolenie bezładnej kupy gruzów.

-Niech żyje Wolna Demokratyczna Polska! Śmierć niemieckim najęźdźcom! Uczestnikowi walk o wyzwolenie z niemieckiego jarzma Stolicy Polskiej WARSZAWY ogniomistrzowi... Wyciąg z rozkazu marszałka STALINA "Za wzorowe działania bojowe wyrażam podziękowanie wojskom Pierwszej Armii Polskiej, które brały udział w walkach o wyzwolenie Warszawy". 18 stycznia 1945 r. Pieczęć. Podpis d-cy pułku.

Miesiąc nie upłynął, jak znalazłem się z powrotem w Brygadzisz, już na Wale Pomorskim. Tam przyszło kolejne - Niech żyje Wolna Demokratyczna Polska... Naczelny Wódz Armii Czerwonej, Marszałek Stalin, wyraża Wam ogniomistrzowi... podziękowanie za udział w walkach o zdobycie miast: Złotów, Jamstrów, Rederitz, Frydląd Pomorski i innych miejscowości Zachodniego Pomorza...

Wnet następne dali za Tempelburg, Falkenburg i Dramburg na Pomorzu Zachodnim. Znowu - Niech żyje Wolna Demokratyczna Polska! wyrażam wdzięczność dzielnym wojskom I-szej Polskiej Armii... Wyciąg z rozkazu Marszałka JÓZEFA STALINA.

Zymierskiemu pozwolili winosować dopiero w Niemczech. Tam dostałem od niego podziękowanie za Odrę, a do tego awans. Dalej to już była sadna robota, tylko do przodu i do przodu. Jak doszli nasi do Łaby, to ich jednego dnia nie zostawili z Amerykanami. Zaledwie czolówki pierwszych rzutów wyszły nad rzekę, zaledwie się z nimi spotkały, zaraz z powrotem. Cały brzeg ruskim zostawiaj i do tyłu. Na zapleczu pohnęli aż pod Berlin, żeby Sprzymierzni mogli się kochać sam na sam.

Za tę całą wojnę krzyż otrzymałem i wyrok pięciu lat więzienia. Tymczasowe zaświadczenie Brązowego Krzyża Zasługi "Za bohaterские czyny i dzielne zachowanie się w walce z niemieckim najęźdźcą" podpisał 6 czerwieca 1945 r. Dowódca Artylerii I Armii W.P. Aleksander Modzelewski gen.dyw. Staranny i wyraźny podpis łatwo daje się odczytać "Al. Modzelewskij".

Wpis w książeczce wojskowej, opatrzony datą 26.VI.45, jest krótki - "osadzony w więzieniu".

W tę pierwszą wojenną wiosnę tkwiłszy na niemieckiej ziemi. Kwatery znajdowała się w willi otoczonej ogrodem z żywopłotami, rabatami, alejkami, jak to tam u nich w zwyczaju. Pyszczół kręciło się nawet dość, choć wojna dopiero co się przewalila. Na taras na piętrze wystawiliśmy stolik i siedzimy przy nim w komplecie, wszyscy w fotelach jak się patrzy. Był Keasurov - dowódca baterii, Siergiejew, Jamer, może jeszcze Ignaciuk, bo się z nami trzymał. Chyba skądś się wzięł wtedy i Broda, Żyd, podporucznik polityczno-wychowawczy z dywizjonu. Na stole wszystko co trzeba - serweta, porcelanowa zastawa, zarcia dość i wódka w kryształowych kieliszkach, bo dom był bogaty. Różniło się w karty i gadało co kogo w domu czeka, kiedy dadzą wrócić, za jaką tu robotą się obejrzą. Kiedy zobaczyłem go z daleka, jak wyskoczył zza tych żywopłotów i pruk uliczką prosto na naszą kwaterę - coś maie tknęło. Trochę czasu upłynęło od niewoli, ale tych zawsze rozpoznawałem na odległość. Już wiedziałem, że to po mnie, choć nie poapałem się za co. Pewien byłem, że wywachali rozstanie z Zagrem... dobrali się może do Mikołaja? Właściwie to od dłuższego czasu wydawało się, że mają na człowieka oko. Przy stoliku nie wierzyli, jak powiedziałem, że to po mnie. Nie masz sprawy - i rzna dalej kartami. Spojrzeli dopiero, kiedy je raucikiem i mówię - nie zejść, a jak wlezie na górę, to rozwałę skurwysyna. Zobaczywszy, że odepiecam, przemówili się ze mną. Choć ruskie, ale swoje obłopy. Widac przeszli dość i dobrze kalkulowali. Nie rób - powiadają - poważnej sprawy nie masz, bo wzięliby od razu. Jak biorą teraz, to znaczy z czymś czekali. Króć mnie znowu przeszedł. Tamci swoje - nie rób i nie rób. Jak rozwalisz, to caapa. Przetrzył wojnę, przetrzymasz tburkę. Strzeżniennego naleli, a już z dołu, z alejki słysz - szefie, wzywają. Po Co? - odpowiedziałem, a ręka świerzi na kolbie, żeby gnidę z góry kropnął. Wzywają i zaraz kazali się stawić - swoje śpiewa. Przy stoliku kładą mi do rba dalej to samo - nie bądź durak, u nas przeżyłeś, to i u swoich przystęjesz, matkę zobaczysz... Raucikiem to świństwo i possessedem. Tamten po drodze jeszcze papierosy wyciągnął ode mnie.

W areszcie takich jak ja było więcej. Co rusz ktoś przybywał. Jednego dnia gromadę chłopaków wygarnęli z różnych jednostek, widac według list brali. Wszystkich tym samym transportem do Wrocławia odeszali. Powoli wychodziło, że najbardziej przebrali skowców, co do Armii powstępowali, a za nimi tych co od Siela szli. Coraz to któryś z Sielozan się nawijał. Później w Rawiczu, było to samo. Mało kto z nich wiedział za co. Ja sam do końca się nie poapałem w swojej sprawie. Baczyłem tylko na to, by nie puścić farby o ląkach - jeśli Mikołaja nie mają to i nie będą mieli, a jeśli mają, to sami muszą wyjawid. Tak sobie to obmyśliłem i wiedziałem, że inaczaj nie mogę. Przesłuchania były gorsze niż u ruskich w trzydziestym dwiętym. Nasi zgnolli człowieka, a później przywlekli pod ręce, wrzucili do celi - na, macie, popatrzcie co następnego czeka - i dopiero później brali do lazaretu. W tajdze nieraz myślałem - Polacy sprawiedliwi, takich rasczy nie robią. Może tak było dawniej. Od tego czasu dobrze zdążyli nas przyuczyć. Najpierw przesiali, przetrzebili, a co zostało - ułożyli na swoje kopyto. Potem swoi swoich przecierali do reszty. Ze mną z początku nie

było źle. Nie wychodziło na to, żeby Mikołaja dopadli, bo najczęściej kołowali po Sielcach i po czterdziestym czwartym. Zahaczali przy tym co chwila c kogoś innego, że do końca głupi byłem w czym rzecz. Wreszcie wyciągnęli ci sam wypowiedziałem wówczas, kiedy popijaliśmy po oddaniu Niemcom warszawskich przyczółków. - Judziłeś, szozułeś na Związek jak faszyści! Sam gadał oof nabrechał, suczy synu.

Nie popuściłem dotąd, dokąd sami nie przypomnieli, a zapisane mieli dokładnie.

- Mówiłeś, że na wytracenie ci co z bolszewickich łagrów żeby wynieśli?
- Mówiłem.
- Mówiłeś, że na wytracenie Niemcom zostawieni ci, co Powstanie zrobili?
- Mówiłem co sam od ruakiego słyszałem.

* wtedy dostałem za swoje. Dołożyli lepiej niż za słąbą pamięć. Gdy zamiarkowałem, że najważniejszej sprawy nie ruszają, to już lżej się zrobiło. Mogłem się przyznawać, podpisywać, bo spokojny byłem o tamtych, a i odeskania mogłem się nie bać. Wiedziakem, że wszystko przejdzie, przemienie, tyle że to, co mi dorzucą - muszę odbębnić. Kaczurow mądrze gadał w Niemczech, kiedy nie chciałem dać się wziąć... Skończyło się na tym, że piątka oberwałem i skierowanie na wczasy do Rawicza. Tam wszystkim przypomnieli, gdzie nasze miejsce. Siedź szła coraz gęściej i gęściej wiązana. W trzydziestym dziewiątym jeszcze sporo się prześlizgnęło, ale później z roku na rok oka coraz mniejsze. Po czterdziestym piątym i później garnęła jak leci, co najwyżej z odroczeniem. Akowakich pamięszczyków plewili najczęściej, przepatrywali resztki wojennoplennych z trzydziestego dziewiątego co się między berlingowcami uchowały, a powoli i szterlingowców zaczęli przerywać w miarę, jak wracali do kraju. Teraz czasem mnie aż woła coś, żeby tam wrócić, pojechać i popatrzeć, gdzie ich w ziemię wpuszczali, żeby choć lampki chłopców zapalić na Zaduszki. Do tajgi nie puszczą, ale do Rawicza przecież można. Chyba ktoś wie, gdzie leżą, prawie na oczach to się działo. Po chwili draży mnie w drugą stronę - mało ci było, im nie pomożesz, a i tobie co po tym. Nie mogę się przemóc, przekamać ani w jedną, ani w drugą. Jak nie pojechałem, tak chyba i nie pojedą. Lękam się - to wszystko co mi zostało. Moim to ani powiem, co w głowie się obraca, bo i na co? Stary dziecienniak - pomyślą - coś mu się w głowie pokręciło, nie wie na jakim ślecie żyje.

Po amnestii w czterdziestym siódmym wróciłem tu, pod Zagórz, gdzie staliśmy w ziemie z czterdziestego czwartego na czterdziesty piąty. Matka czekała, ale po braciach ani śladu. Nowe życie rozpocząłem. Żona miała posadę państwową i ja najłem się na urzędnika do powiatu. Trzynastcie lat upłynęło nim przyszedł rehabilitacja z Najwyższego Sądu Wojskowego, ale i co z tego. Nie mnie na plewy brać. Mierziło człowieka to wszystko i z boru nose wychylałem tyle, co do roboty i z powrotem. Nawet tych ich gazet nie mogłem chytać, ani radia słuchać. Jak żona mnie do kina wyciągnęła i znowu zobaczyłem tych odyńców spasionych, basiorów przeklętych, to strzelałbym choć to obraz. Poszedłem wtedy i więcej już nie dałem się nabrać. W domu była robota w ogrodzie i około zwierzków. Przy pszczołach też człowiek się pokręcił. Jak czasu więcej to na borówki się szło, na grzyby albo bagna na mole przynieść z torfów. Choćby przysiąść gdzie na pniaku i popatrzeć - też dobrze. Wiosną na mokradkach za wydmami łosie chlupią, a jesienią dziki za łożyznami aż na podwórko popod dęby przykają. Trochę to tak jak wtedy, na Łąkach, tyle że dom i rodzina własna jest.

* w robocie długo nie wytrzymałem. Daleko chodzić i zdrowie inne niż dawniej. Jesienią bota, szarugi, zimną drogą nie przetarta na tym bezludziu, a bliżni się odezwały i głowa swoje przypomniaka. Rzuciłem powiat i trochę w lesie robiłem, trochę na swoim koło domu. Ciężko było, ale renty nijak nie mogłem wychodzić. Mówili, że za późno, że trzeba było wcześniej, żebyśmy wystarali się o pisma, gdzie rany otrzymałem. Jakby nie starczyła księżeczka, jakby nie starczyły te laurki, medale, krzyż, ani to co na ciele żywym wypisane. Rzuciłem wszystko, bo za to chodzenie dorobiłem się

nadośnienia, a potem sawał ożłowieka powalił i do szpitala powędrowałem. Przypadkiem pomógł inżynier jeden i sprawa trafiła do pułkownika, co dawniej ponoć w bezpiecu pracował, a potem powiastki dla dzieci pisał i dobrodziejem takich jak ja został. Skończyło się na tym, że właśnie on pomógł. W siedemdziesiątym trzecim przysłał do wiadomości pismo adresowane do Towarzystwa Ministra

- "... Przeprowadzony wywiad środowiskowy stwierdza, że zainteresowany pozostaje na utrzymaniu żony - rencistki pobierającej rentę w kwocie 1.507 zł miesięcznie. Na utrzymaniu ma syna studenta chorego na gruźlicę płuc. Mając na uwadze udział w ruchu narodowo-wyzwoleńcym, inwalidztwo II grupy oraz trudne warunki bytowe przyznałem mu rentę inwalidzką jako świadczenie wyjątkowe od dnia 1.4.1973 r. w kwocie 1.500 zł miesięcznie...
Prezes..."

x x x

O pogrzebie dowiedziałem się przypadkowo, na ulicy.
- Czy pan wie, że on nie żyje?

Od tej samej wdowy po wiecznie zapijaczonym zdumie Marcinie usłyszałem niegdys pierwszą wiadomość o istnieniu tego, który "... był tu z wojskiem, a później wrócił i zaszył się gdzieś w borze wśród bagien". Nieskładnie mówiła wtedy o ożłowieku, który kwaterował w domu zdunów podczas ostatniej wojennej zimy i nijak nie pasowało do siebie to, co o nim wiedziaka.

- Debera, czy jakoś podobnie do niego mówili. Dobry był człowiek, ale dziwny. Sąsiadce obok, co sama z dziećmi została nawet prowiant oddawać. Stało ich czterech na kwaterze - dwóch ruskich w rogatywkach i dwóch Polaków - a często przychodził jeszcze jeden Żyd. Debera od nich wszystkich odstawał, milczek, często gdzieś sam chodził i zawsze jakby trochę z boku się trzymał. Jednego razu posłyszałem jak ci inni coś się zmwiali, że "polityczny" jest, ale nie pamięć, czy to wtedy na niego tak gadali, czy na tego Żyda. Po wojnie długo nie wracał. Potem chodziła gadka, że jakies "sprawy" miał, choć nikt nie wie jakie. Ludzie powiadali nawet, że siedziak. Może i tak było. W wojsku jak się popiją to różne rzeczy wyrabiają. Kiedy zjechał z powrotem, nikt go nie widziak, dopiero później okazało się, że jest i w borze za bagnami siedzi.

Gdy ponownie dotarłem do domu przy wydnie, śnieg miejscami jeszcze się trzymał i zaczynały kwitnąć zawiłce.

Osamotniona siwa kobieta patrzyła przed siebie nie widzącymi oczami. Traciła wzrok i poznała mnie dopiero wówczas, kiedy sblizyłem twarz do jej twarzy.

- To stało się w samą rocznicę ślubu, w sobotę. Akurat siedzieliśmy przy śniadaniu. Poprosił, bym dała mu sok malinowy, tak lubił dodać go trochę do herbaty. Ledwie podniósł szklankę z zdążył powiedzieć, że ciemno mu w oczach. Zle się poczulk. Wtedy raptem spadł z krzesła... Zanim pomec jaka - już po wszystkim.

Styczeń był, mróz wielki i śniegu nanosło wysoko jak trzydzieści pięć lat temu. Ksiądz proboszcz, mimo że w latach posunął, cały czas od domu szedł za saniami piezo, choć to szmat drogi. Chciał go odprowadzić godnie. Chyba wiedziak o nim. Może ze spowiedzi, może z pogawarki, bo nie-raz pogadali jak się zeszli. Dobrodziej czasem zaglądał do nas. W kościele pięknie przemówił, że Bóg sprawiedliwy sam szradził i żołniersowi, na to długie, zle konanie, co je za życia odcierpiak, dobrą śmierć zesłał.

Nie minęło cztery miesiące, jak licha, kusząca się farba sdążyła setrzeć nazwisko z blaszanej tarczy przybitej do krzyża, wśród karłowatych sosenek.

Czytelny pozostał zaledwie początek imienia i zwyczajowa - "... żył lat 65 zm. dn. 6.I.1979 Pokój Jego Duszy".